

## Problem działań doraźnych

Autor: **Murray N. Rothbard**

Tłumaczenie: **Marcin Zieliński**

*Fragment książki Ekonomiczny punkt widzenia, którą można nabyć w formie [elektronicznej](#) lub [drukowanej](#). Artykuł opublikowany po raz pierwszy w „The Free Market” w maju 1994 roku.*

Zapytany o najważniejszą cnotę konserwatystów i ekonomistów wolnorynkowych odpowiedziałbym, że jest to głęboka świadomość istnienia niebezpośrednich i nienatychmiastowych skutków rozwiązań politycznych. Wnoszą oni do życia politycznego postawę w duchu Hazlittowskiej „metafory zbitej szyby”, nakazującą najpierw myśleć, a potem robić.

Jednak w ostatnich latach przyjaciele i koledzy, którzy wiedzą lepiej, coraz chętniej poszukiwali doraźnych rozwiązań albo efekciarskich sztuczek, które w magiczny sposób rozwiązywałyby nasze problemy i nie niosły za sobą żadnych negatywnych konsekwencji. Niestety, zapomnieli o przedstawionym przez Misesa podstawowym prawie działań rządu, w świetle którego nawet, a może przede wszystkim, prowizoryczne działania rządu prowadzą do powstania jeszcze większego bałaganu od istniejącego dotychczas.

Podstawową wadą działań doraźnych jest skupienie się na jednym, zazwyczaj najbardziej pod względem politycznym chwytliwym aspekcie problemu i zignorowanie innych istotnych kwestii. W projekcie bonów oświatowych wskazuje się na okropieństwa szkół publicznych, pomijając bardziej ogólne i istotne kwestie, jak system edukacji z pieniędzy podatników czy rządowa kontrola nad wszystkimi szkołami, zarówno publicznymi, jak i prywatnymi. Sprzeciw wobec pomocy społecznej skupia się na tym, że podatnicy płacą ludziom za bezczynność, a pomija bardziej ogólne zagadnienie dotowania z podatków osób bezczynnych i niebezczynnych.

Katastrofalną ustawę o reformie podatkowej z 1986 roku zawdzięczamy przede wszystkim ekonomistom wolnorynkowym, którzy w swym jakobińskim dążeniu do równości i „sprawiedliwości” zlikwidowali „luki” tak skutecznie, że zdławili rynek nieruchomości. Ponadto, o czym w ogóle się nie

wspomina, reforma podatkowa pomogła Clintonowi we wprowadzeniu potwornego systemu ubezpieczeń zdrowotnych, gdyż właściwie zlikwidowała możliwość odliczenia niepokrywanych przez ubezpieczenie wydatków na leczenie, w wyniku czego powstał problem osób niemających ubezpieczenia medycznego.

Ostatnio szał doraźnych działań wśród wolnorynkowych ekonomistów koncentrował się wokół już martwej i nieopłakiwanej poprawki o zrównoważonym budżecie. Wygląda na to, że raz na kilka lat zdarza się w Kongresie sezon ogórkowy, w trakcie którego ktoś wyskakuje z podobną poprawką. Co więcej, każde kolejne wcielenie poprawki o zrównoważonym budżecie jest gorsze od poprzedniego. W historycznym pragnieniu, by jakąś formę tej poprawki wprowadzić w życie, coraz bardziej osłabiane są ograniczenia możliwości podnoszenia podatków. Według ostatniej wersji przedstawionej przez Paula Simona wystarczałaby zwykła większość głosów w Kongresie, by „rozwiązać problem deficytu” przez podniesienie podatków.

Poprawki o zrównoważonym budżecie skupiają się oczywiście tylko na deficycie, tak jakby to deficyt był źródłem fiskalnego zła, które należy wyrugować przy użyciu wszelkich koniecznych środków. Jednak najbardziej istotnym problemem wiążącym się z istnieniem wielkiego rządu nie jest deficyt ani nawet całkowite wydatki rządowe, na które przez długi czas zwracał uwagę Milton Friedman, lecz działalność rządu, która pod względem fiskalnym sprowadza się do trzech powiązanych ze sobą spraw: deficytu, wydatków rządowych i opodatkowania. Wielki rząd jest przerośniętym, stale powiększającym się i pasożytniczym bytem, tłumiącym produktywną gospodarkę, czyli sektor prywatny. Dlatego też należy skupić się na jak największym i jak najbardziej „drastycznym” obniżeniu wszystkich trzech aspektów rządowego budżetu.

Jeśli zatem chodzi o poprawkę o zrównoważonym budżecie, to wyraźnie niefortunną konsekwencją skupiania się wyłącznie na deficycie może być drastyczny wzrost podatków, a nie ograniczenie wydatków rządowych. Gorszym od deficytu aspektem fiskalizmu jest wzrost podatków. Wprowadzenie poprawki o zrównoważonym budżecie i podniesienie podatków w celu zwalczania deficytu przypomina leczenie pacjenta chorego na zapalenie oskrzeli przez postrzelenie go w klatkę piersiową.

Poprawkę o zrównoważonym budżecie cechuje jeszcze wiele strasznych wad. Wystarczy większość trzech piątych głosów w Kongresie, by nie trzeba było uwzględniać jej postanowień. Pomija ona to, że coraz więcej pozycji wydatków można po prostu umieścić „poza budżetem”, gdzie żadne ograniczenia

ich nie dotyczą. Pomija również to, że rząd federalny może przenieść wydatki na stany albo firmy prywatne. I wtedy to one, a nie rząd federalny, musiałyby uwzględniać te wydatki w swoich budżetach.

Co więcej, poprawka o zrównoważonym budżecie jest totalnym oszustwem, ponieważ wcale nie prowadziłyby do zrównoważenia budżetu. Od połowy lat siedemdziesiątych proces ustalania budżetu federalnego skupia się nie wokół rzeczywistego budżetu na dany rok, ale wokół szacowanych budżetów na kolejne lata. Poprawka nakazywałaby zrównoważenie nie rzeczywistego budżetu federalnego, ale szacowanego przez Kongres budżetu na kolejny rok. A każdy głupi wie, że można bez większego problemu oszacować to, co się chce, i manipulować założeniami tak, by otrzymać pożądany wynik. Tradycją jest, że rządy nie doszacowują wydatków na swoje przyszłe działania i przeszacowują swoje wpływy.

A zatem poprawka o zrównoważonym budżecie nie tylko zwiększyłaby wyniszczający ciężar podatkowy ponoszony przez Amerykanów, ale również stanowiłaby okrutne oszustwo wobec społeczeństwa, które nie chce deficytów i poparłoby rozwiązanie eliminujące tylko na pozór, bo nie w rzeczywistości, ten problem. Krótko mówiąc, poprawka o zrównoważonym budżecie pomogłaby wielkiemu rządowi przez osłabienie oporu społecznego w jego ekspansji. I o to może tak naprawdę w tym wszystkim chodzić.

Na ostatnią i zupełnie pomijaną wadę poprawki o zrównoważonym budżecie wskazał jej czołowy przeciwnik, senator Robert Byrd (demokrata z Wirginii Zachodniej), zwany też złośliwie kiełbaśnikiem. Senator Byrd może i jest kiełbaśnikiem, ale elokwentnie przedstawił istotny problem konstytucyjny: że Kongres musi zachować swoje podstawowe prawo, władzę nad państwową kasą. Poprawka o zrównoważonym budżecie odebrałaby to prawo Kongresowi, który mimo wszystkich swoich grzechów odpowiada przed wyborcami, i przekazała je w ręce federalnych sędziów, którzy stanowią niewybieralne, przed nikim nieodpowiadające i nieusuwalne oligarchiczne ciało, od dawna skupione na ciągłym zwiększaniu swojej władzy.

Jak stwierdził senator Byrd, wyrażając swój sprzeciw wobec poprawki o zrównoważonym budżecie, „władza nad państwową kasą należy do ludu. [...] Powierzono ją tym organom, które reprezentują lud i są przez lud wybierane. Sędziowie przez lud wybierani nie są”.

A skoro już mowa o działaniach doraźnych, na horyzoncie pojawia się zmora. Libertarianie od dawna naciskają na sprywatyzowanie działań rządu, ale

jak to się zbyt często dzieje, nawet dobra rzecz, jak prywatyzacja, może nieść za sobą złe konsekwencje, gdy stanie się fetyszem, obiektem uwielbienia ruchu ideologicznego, który ignoruje bardziej ogólne i istotne kwestie. Jak widać na przykładzie krajów dawnego Związku Sowieckiego, wiele zależy od zakresu i formy „prywatyzacji”. Czy powinniśmy się naprawdę cieszyć z tego, że członkowie komunistycznej elity zarządzający dawnymi monopolami nagle stali się „prywatnymi” właścicielami tych nieekonomicznych kompleksów?

Przykłady możemy znaleźć również w kraju. Tak wielbiony przez nas Urząd Skarbowy chciałby przy wsparciu administracji Clintona dokonać prywatyzacji. Okazuje się bowiem, że dla Departamentu Skarbu bardziej efektywne byłoby sprywatyzowanie poboru zaległych podatków, zlecenie tego prywatnym firmom inkasenckim. Czy naprawdę chcemy bardziej efektywnego poboru podatku dochodowego dzięki sprywatyzowaniu niektórych albo nawet wszystkich urzędów podatkowych?

Czy naprawdę chcemy, by z rozkazu „policji podatkowej” zarządzanej przez IBM albo McDonald’s analizowano szczegółowo nasze życie i naszą przeszłość oraz wyważano nam drzwi? Znający historię wiedzą, że najbardziej nienawidzoną instytucją w Europie doby przednowoczesnej była francuska Ferme Générale, zrzeszająca „dierzawców podatków”. Król otrzymywał pieniądze szybciej i oszczędzał sobie kosztów ogromnej biurokracji, sprzedając prawo, a właściwie to przywilej, do pobierania podatków osobom prywatnym, „dierzawcom podatków”. Czy możemy sobie wyobrazić, jak mocno zwykli ludzie nienawidzili dzierzawców podatków, którym brakowało szat suwerenności i prawomocności?

Są tacy, którzy uważają, że im gorszy despotyzm, tym lepiej, gdyż tym większe są szanse na wywołanie rewolucyjnej reakcji w społeczeństwie. Cóż, sprywatyzowanie poboru podatków może się do tego przyczynić.